MIROSŁAW TREMBECKI

ur. 1954; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; PRL ; ulica Staszica ; ulica Sowińskiego ; ulica Sowińskiego 3 ; ulica 22 Lipca ; ulica Spokojna ; ulica Krakowskie Przedmieście 62 ; plac Litewski ; ulica 3 Maja ; plac Marii Curie-Skłodowskiej ; edukacja ; szkolnictwo ; Kurier Lubelski (czasopismo) ; Sztandar Ludu (gazeta) ; prasa lubelska ; fotograf ; praca fotografa ; praca fotoreportera ; praca zawodowa ; konkursy fotograficzne ; agencja fotograficzna ; CAF ; Centralna Agencja Fotograficzna ; PAP ; Polska Agencja Prasowa ; Wydawnictwo Lubelskie ; budynek Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie ; życie rodzinne ; dom rodzinny ; rodzina ; życie codzienne ; codzienność PRL ; Inspekcja Robotniczo-Chłopska ; cenzura ; stan wojenny (1981-1983) ; 13 grudnia 1981 ; 11 listopada ; ZOMO ; wojsko ; KPN ; Konfederacja Polski Niepodległej ; manifestacje ; strajk chłopski ; Jan Paweł II (1920-2005) ; papież ; pielgrzymka Jana Pawła II do Lublina ; Kościół Świętej Rodziny w Lublinie ; dzielnica Czuby ; 1987 rok ; Fita, Tadeusz (1943-) ; Moczulski, Leszek (1930-) ; Wójcik, Dariusz (1961-)

1. Miejsca zamieszkania w Lublinie

Mieszkałem do piątego roku życia u swoich dziadków na ulicy Staszica w szpitalu, nad położnictwem. Na drugim piętrze było położnictwo, a na trzecim i czwartym piętrze były mieszkania dla ludzi. Od [19]58 do [19]81 roku mieszkałem na ulicy Sowińskiego 3.

2. Edukacja fotograficzna

Wszystkie szkoły kończyłem w Lublinie. Edukacja zawodowa była jak gdyby kontynuacją rodzinną, bo uczyłem się zawodu fotografii, fotografii prasowej, reportażu przy swoim tacie od [momentu] powstania „Kuriera Lubelskiego” , w którym tata pracował jako fotoreporter. Moja mama też była fotografem, poznali się poprzez wspólne wykonywanie zawodu. Jestem dzieckiem fotografów.

Z fotografią zaczynałem się stykać już od szóstego roku życia, interesowało mnie to. Chodziłem do taty do redakcji, bo tam było laboratorium fotograficzne, ciemnia. Stół był wysoki, nie mogłem się do tego stołu dostać, tata mi podstawiał stołeczek i na stojąco stałem i patrzyłem, jak to się wszystko odbywa. Pierwszy aparat dostałem od

taty, taki przedwojenny, formatu 6x9, jak byłem w pierwszej klasie i zacząłem już sobie robić zdjęcia, starałem się już sam wywoływać filmy na zasadzie rozrabiania tych chemikaliów w talerzach pod okiem taty i na zasadzie przebijania z jednej rolki na drugą. Zdjęcia robiłem na zasadzie stykówki – kładło się papier fotograficzny, na ten papier negatyw formatu 6x9, przykładało się to szybą, naświetlało lampką nocną i później w miskach wołało. Pierwszym aparatem, który już był, można powiedzieć, profesjonalny, to był aparat Smiena 8 na filmy małoobrazkowe, na te czasy to już był poważny zakup; następnym był aparat Zenit, później Praktiki.

3 Od konkursów fotograficznych do pracy zawodowej fotoreportera

Już w szkole podstawowej wysyłałem zdjęcia na konkursy i różne wystawy, a pierwsze zdjęcia [zostały] umieszczone w prasie jak byłem w pierwszej klasie Liceum Ekonomicznego. [Umieszczono je] w „Kurierze". Później zacząłem współpracę z „Na tropie". Zostałem przyjęty do harcerstwa do Komendy Chorągwi w Lublinie, bo dodatek „Na tropie" był dodatkiem „Kuriera" i Komendy Chorągwi ZHP w Lublinie. Byłem jak gdyby głównym odpowiedzialnym za zdjęcia ukazujące się w [tym] dodatku. Od [19]81 roku zacząłem pracować w Centralnej Agencji Fotograficznej w Warszawie i po zlikwidowaniu CAF-u – [kiedy] połączyli nas z PAP-em – w Polskiej Agencji Prasowej.

4. Ingerencje cenzury w pracę fotografa

Miałem taki epizod w swoim życiu związany z cenzurą, że dostałem zlecenie z Wydawnictwa Lubelskiego na zrobienie okładki do „Kalendarza lubelskiego" – [zdjęcia] Urzędu Wojewódzkiego na [ulicy] 22 lipca, obecnie Spokojnej. Budynek sam w sobie jest bardzo szary, ponury i w rozmowie z redaktorem, który [mnie] prosił, żeby [to] wykonać, poprosiłem o dobrą pogodę – dobrze, żeby niebo niebieskie było, żeby to było koło jakiegoś święta państwowego, żeby ten budynek był ukwiecony jakimiś flagami biało-czerwonymi, a nie sama szara, brudna bryła; żeby ten budynek trochę rozjaśnić. No i taki miałem właśnie dzień przed 22 lipca czy po 22 lipca, że na budynku było sporo flag biało-czerwonych, niebieściutkie niebo i zacząłem fotografować ten Urząd Wojewódzki od strony szpitala MSW. Zrobiłem dwanaście zdjęć. Musiałem szybko to wywołać i dostarczyć do wydawnictwa, no i wchodząc do zakładu fotograficznego kolegi, który zajmował się obróbką diapozytywów, zostałem zaczepiony za ramię, kto ja jestem, dlaczego fotografowałem Urząd Wojewódzki. Sporo to kosztowało wyjaśnień. Zaprowadzono mnie na komisariat [milicji] przy ulicy Okopowej i dopiero po interwencji naczelnego, kto ja jestem, po co i na co robię, dla kogo i tak dalej, zostałem zwolniony. Całe szczęście, że mi tej rolki filmu nie naświetlono. Na każdym kroku jednak trzeba było uważać, nieraz było zdjęcie bardzo fajne, ładne, plastyczne, ale coś komuś nie pasowało i nawet w takim dodatku harcerskim jak „Na tropie" zdjęcia też przechodziły przez sito cenzuralne. Ja bezpośrednio nigdy nie zanosiłem zdjęć do cenzury, bo to już było w gestii redakcji.

Miałem też taki epizod, już jak w CAF-ie pracowałem – [w czasie wyborów] do Sejmu robiłem [zdjęcia] w terenie – bo ja zawsze miałem takie zlecenia, [żeby] pokazać na wsi wybory, rolników, szpitale, coś takiego – no i pojechałem na wieś do jednego z lokali wyborczych. Tam się zawsze trzeba było przedstawić, pokazać legitymację, wtedy jeszcze były wydawane przez wojewódzką komisję wyborczą specjalne zezwolenia na poruszanie się po lokalach wyborczych – po okazaniu tych wszystkich dokumentów dostałem zgodę na fotografowanie ludzi, którzy przychodzą wrzucać głosy do lokalu wyborczego. Nie zauważyłem, bo nie musiałem się znać albo myślałem, że tak ma być – były w lokalu wyborczym jakieś ogłoszenia wyborcze czy coś, co nie powinno być, o tym powinien wiedzieć przewodniczący komisji wyborczej, i robiąc zdjęcia niechcący znalazło się w kadrze takie ogłoszenie czy jakiś plakat wyborczy, coś takiego propagandowego, co nie powinno być. [To zdjęcie] poszło w CAF-ie w serwis. W nocy dzwonią do mnie, była godzina pierwsza-druga, że zdjęcie to wziął „Sztandar Ludu" i czy ja mogę wpłynąć na to, żeby zatrzymać maszynę drukarską w Lublinie, bo na zdjęciu są niepożądane rzeczy. Cenzura to przeoczyła i od nas z CAF-u jak wyszło zdjęcie też ktoś to przeoczył. Dopiero później na spokojnie chyba spojrzeli jakie zdjęcia poszły w serwis i zauważyli, że coś niepotrzebnego jest na zdjęciu. Nie byłem w stanie zatrzymać maszyny drukarskiej, zrobiłem to, co do mnie należało, wysłałem całą rolkę filmu, a to, że ktoś wybrał akurat to zdjęcie, to już była jego strata.

5. Kryzys lat osiemdziesiątych

Zaczynało się robić coraz gorzej ze względu na braki w sklepach. Braliśmy ślub z żoną w [19]78 roku, kiedy zaczynało się już robić coraz gorzej na rynku i trzeba było nieraz uruchamiać niesamowite znajomości, żeby coś uzyskać. W [19]81 roku, jak dostałem mieszkanie, to już było kompletnie wszystko na kartki, niczego nie było, można było jedynie kupować dolary i zaopatrywać się w [„Pewexie"]. Ja dostałem mieszkanie, wszystko w kolorze cementu, i jedyne co mi dali, to kuchnię gazową i wannę, a parkiety, ściany, podłogi, wszystko musiałem zdobywać, załatwiać, żeby urządzić to mieszkanie, żeby mieszkać. Dostaliśmy kredyt MM – kiedyś taki był dla młodych małżeństw – na ten kredyt można było sporo dostać, tylko że zapisywało się na wszystko, co było możliwe, nieraz na takie rzeczy, które człowiek już miał, bo być może dostanie i z kimś się zamieni. Jeden przykładowo zapisał się na meble, a dostał telewizor – w ten sposób istniała wymiana między kolegami.

Ja miałem jeszcze tą niekorzystną sytuację, że dziecko mi się urodziło w [19]81 roku w czerwcu. Córka była z tych dzieci, które lubiły zjeść, a mleko było na kartki i nam nie starczało. Tutaj zaczynał się problem, bo dopóki jeszcze koledzy i koleżanki też mieli dzieci i też mieli kartki, mleka im trochę zbywało, to się odkupywało od nich, ale jak im dzieci już też trochę podrosły, to też im tego mleka już albo wystarczało, albo też im brakowało. W [19]82 w marcu już nie było mleka kompletnie skąd brać, bo to, co dostawaliśmy na kartki, to starczało na dwa tygodnie. Rodzina mówi: „Idź coś rób,

załatw tego mleka, bo przecież dziecku trzeba coś dać". Wziąłem syna trzyletniego i poszliśmy do kościoła – bo kościół dostawał wtedy dary – żeby załatwić chociaż ze dwa-trzy kilo mleka dla tego dziecka. Poszedłem do kościoła Królowej Jadwigi na Czechowie. Tam zaczęli mnie przepytywać, gdzie pracuję, gdzie mieszkam, ile zarabiam, jaki stan majątkowy i panie mnie zaczęły obdarowywać. Ja poszedłem z małą siateczką po te dwa kilo mleka, żeby dostać dla tego dziecka. Jak zobaczyły te panie, że ja przyszedłem jeszcze z takim trzyletnim dzieckiem, że niedawno mieszkanie dostaliśmy, że drugie dziecko w domu jest, że żona nie pracuje, tutaj stan wojenny i tak dalej, [to] mnie obdarowały jakimiś kaszami, ryżem, mąką, pięciolitrową bańką oleju, jakimiś owocami suszonymi, bucikami dla dziecka. Nie chciałem tego brać, bo mi to było akurat niepotrzebne, te inne rzeczy jakoś tam się zdobywało przy pomocy rodziny, teściowej, która też tam wystawała w kolejkach za proszkiem „Cypiskiem", za mydłem szarym do prania pieluch i tak dalej. To było mi niepotrzebne – „Ale nie, musi pan wziąć, bo to przecież młode małżeństwo na dorobku". No i szedłem przez całe osiedle obładowany jak wielbłąd z tą wielką bańką oleju pod pachą, buty dziecku z kieszeni wystawały, ludzie oglądali się kto to idzie. Już później małe dziecko zaczęło jeść zupki, to zupki się gotowało na cielęcince, a zdobyć cielęcinkę to też był niesamowity problem. Ze wszystkim były naprawdę duże problemy.

6. Kolejki

Przy sklepach meblowych, przy AGD były kolejki. One może nie były najdłuższe, tylko to były dyżury kolejkowe, [czyli] na przykład musiałem przyjść na dwie godziny – od godziny trzeciej w nocy do godziny piątej rano – musiałem stać w kolejce akurat w tym czasie, bo był zeszyt, w którym były nazwiska, pozapisywani ludzie, i były komitety kolejkowe, które pilnowały tego. Po mnie jakiś tam pan Kowalski miał być znowu od godziny piątej do godziny siódmej. I to czasami całe rodziny stały, bo wiadoma sprawa, że jak człowiek pracował, to nie mógł; jak mu wypadł dyżur kolejkowy, a miał tych kolejek zarezerwowanych w paru sklepach, to trzeba było jednak to obstawiać.

Mało stałem w kolejkach, bo na mojej głowie było utrzymanie całej rodziny, żona w tym czasie nie pracowała, była na urlopie wychowawczym, [było] dwoje dzieci. Ja stałem w kolejkach jak już wypadał dyżur kolejkowy czy coś takiego. Wtedy nie było jakichś agresji czy czegoś, po prostu życzliwie, żartowało się, rozmawiało się, jeżeli była możliwość. Był okres taki, kiedy nie można było stać w nocy w kolejkach ze względu na godzinę milicyjną, wtedy już się nie stało, albo stało się gdzieś po bramach, żeby nie było widać kolejki. Ale były takie sytuacje, że tam ktoś bez kolejki [chciał wejść] czy coś – to żona opowiadała, czy teściowa, [że] ktoś nerwowo nie wytrzymał i chciał bez kolejki, do jakichś szamotanin dochodziło czy do ostrej wymiany słów. Ja osobiście tego nie [doświadczyłem], bo ja byłem pochłonięty pracą

zarobkową.

7. Intensywna praca w latach osiemdziesiątych

Jak już zacząłem pracować w CAF-ie, to praca była nienormowana – wychodziło się rano i przychodziło wieczorem, bo różne były wydarzenia na terenie i miasta, i na terenie województwa, gdzie musiałem jechać. Jeździłem tylko PKS-em, bo jeszcze wtedy nie miałem własnego samochodu. Jak wyjeżdżałem nieraz o godzinie szóstej do Hrubieszowa, to przyjeżdżałem o godzinie dwudziestej drugiej czy dwudziestej trzeciej. W stanie wojennym to przyjeżdżałem tak, żeby zdążyć przed godziną milicyjną. Przyjeżdżałem do domu, musiałem obrobić to wszystko, co zrobiłem, opisać, wysłać na drugi dzień. Byłem bardzo pochłonięty pracą i szukaniem w tym czasie pieniędzy, bo nie dość, że niczego nie było, to trzeba było za niektóre rzeczy przepłacać. Jak czegoś nie było, to się szło na targ do paserów, człowiek przepłacał, ale musiał kupić. Jeżeli miałem zrobić jakąś robotę, która by mi dała jakieś pieniądze, to musiałem zaopatrzyć się w papier fotograficzny, w utrwalacz, wywoływacz, a tego w sklepach normalnie nie było; jeżeli było, to dali jeden woreczek utrwalacza, który można było rozrobić przykładowo tylko na litr, albo jedną paczkę papieru, gdzie ja miałem robotę na pięć czy na sześć paczek. Począwszy od tych rzeczy potrzebnych do zrobienia jakiejś pracy i zarobienia pieniędzy, a skończywszy na rzeczach żywnościowych, na rzeczach do urządzania mieszkania – to wszystko się w ten sposób załatwiało.

8. Zapotrzebowanie zagranicy na zdjęcia przedstawiające kryzys w PRL

Był wymóg bardzo [duży], żeby pokazywać [kryzys], bo u nas w CAF-ie było duże zapotrzebowanie zagranicy na tego typu zdjęcia. Zagranica bardzo o te zdjęcia walczyła i, o dziwo, pomimo sytuacji jaka była w kraju, z CAF-u wychodziły te zdjęcia na zagranicę. [Cenzura zwracała uwagę] na krajowe zdjęcia, na zagranicę nie za bardzo. Od nas cały czas wymagano, żeby właśnie robić tego typu zdjęcia. Z drugiej strony, wejść do takiego sklepu z aparatem, to można było czymś dostać w głowę od ludzi, bo każdy uważał wtedy, że to wchodzi już ubek.

[Zdjęć z okresu] od stanu wojennego do lat dziewięćdziesiątych bardzo potrzebowała zagranica. Szło naprawdę dużo zdjęć na zagranicę – pokazanie życia w Polsce, wszystkie strajki rolników, nie rolników. Zawsze coś działo, gdzieś trzeba było jechać, coś robić, dokumentować – tutaj rolnicy, tutaj coś w zakładach, albo trzeba było też pokazać, że zaczyna to funkcjonować już normalnie, zaczynają zakłady produkować i zaczyna się robić normalne życie w kraju. Wtedy było też ciężko do zakładu pracy wejść z tego względu, że powstało coś takiego jak IRCHa przy większych zakładach pracy – Inspekcja Robotniczo-Chłopska. Oni mieli nadzór, [byli od] pilnowania

porządku w zakładzie, żeby to wszystko się odbywało normalnie, żeby produkcja szła. Jak umawiałem się nieraz z dyrektorem, że przyjadę i zrobię [zdjęcia], że coś tam nowego robią czy normalnie pracują, to trzeba było jeszcze zgody IRCHy. Przyjeżdżałem do zakładu pracy i dostawałem dwóch opiekunów z ramienia IRCHy, jednego z [ramienia] dyrektora – chodzili, patrzyli, co się fotografuje, z kim się rozmawia, co się pytam i tak dalej. To też było ciężkie – jak ktoś komuś na ręce cały czas patrzy, to się ciężko pracuje.

9. Wprowadzenie stanu wojennego

[Fachowiec] skończył nam kłaść glazurę 13 grudnia [19]81 roku. Trzeba było jeszcze coś postawić; wypiliśmy przy kolacji, żeby się ta glazura dobrze trzymała, pan poszedł, wzięliśmy się z żoną za doprowadzenie łazienki i ubikacji do stanu używalności po glazurnikach i położyliśmy się spać tacy zmęczeni, była godzina czwarta czy piąta rano. Budzi nas dzwonek, łomot do drzwi, wstajemy zaspani – mama z tatą przychodzą zapłakani. „Co się stało?”. „No to wy nic nie wiecie?”. „Nic nie wiemy, bośmy się o piątej położyli spać” – jest godzina wpół do dziesiątej rano. „Stan wojenny wprowadzili na terenie Polski”.

Mieszkam niedaleko trasy W-Z i wszystkie przejazdy kolumn wojskowych, czołgów i tego wszystkiego odbywały się trasą W-Z, [kiedy jechano] na Świdnik i na Fabrykę Samochodów Ciężarowych. I zawsze wieczorem to było takie jedno wielkie dudnienie, bo to wszystko się przemieszczało w tym kierunku. To było coś strasznego, bo na rondzie Wieniawska-Trasa W-Z [*rondo im. Kuklińskiego*] stały dwa albo trzy czołgi, takie wielkie. Dziecko, trzy latka, pytało się: „Tatusiu, co to jest? Co to?” – on to widział na filmach. Była to zima. Godzina milicyjna to też było coś strasznego, jak ludzie biegiem uciekali między klatkami, żeby nie natknąć się na patrol. Trasą W-Z jechały samochody z wojskiem czy z ZOMO, jechały te czołgi, jechały samochody opancerzone. To jechała cała duża kolumna, czasami pół godziny, tego nie można było policzyć, bo też nie mieszkałem tak, żeby widzieć dokładnie i liczyć z okna, tylko słyszałem hurgot tego ciężkiego, wojskowego sprzętu. [Przez] pierwsze dni stanu wojennego od godziny dwudziestej obowiązywał zakaz poruszania się samochodów. Nie było możliwości, żeby jeździć. To wszystko się odbywało w godzinach późnowieczornych i nocnych. Było niemożliwością zrobić [zdjęcie]; trasa W-Z nie była oświetlona, [pojazdy] jechały tylko na swoich światłach, a błysnąć wtedy fleszem, to już by chyba był wyrok.

10. Warunki pracy w stanie wojennym

W pierwszych dniach stanu wojennego było ciężko, bo jeszcze to wszystko było nieunormowane i niedoprecyzowane. Zaczęliśmy robić zdjęcia dopiero po tygodniu czasu, tylko był obowiązek, żeby nie obrabiać samemu negatywów, tylko negatyw w

kopertę z opisem co, gdzie, jak, szedł do Warszawy i oni tam już wszystko obrabiali i dalej szło do serwisu. Na początku nawet nie wychodziły żadne gazety, nic nie wychodziło, [więc] nie było w zasadzie potrzeby robić [zdjęć], bo nie było dla kogo, jedynie do celów dokumentacyjnych. Z ukrytych kamer nikt nie próbował pracować, bo nie chciał się narażać, żeby wylecieć z roboty. Tam gdzie pozwolili, to się chodziło i robiło.
Jako że musiałem się poruszać po regionie ówczesnych czterech województw– lubelskiego, chełmskiego, zamojskiego i bialskopodlaskiego – to na początku stanu wojennego były wprowadzone takie obowiązkowe zezwolenia na opuszczenie miejsca zamieszkania. [Szedłem] do Trybunału na Starym Mieście i na przykład zgłaszałem, że muszę jechać jutro czy pojutrze do Chełma, przedstawiałem dowód osobisty, legitymację służbową i dostawałem taki glejt, który pozwalał mi wyjechać poza miasto. I to było w porządku, dopóki były te glejty formatu A5. Później już zaczęli to modyfikować, bo za dużo ludzi służbowo wyjeżdżało, i wystarczyła tylko legitymacja służbowa – legitymacja prasowa. Wtedy dopiero zaczynały się schody dla mnie, bo jak wsiadałem do autobusu PKS-u i jechałem przykładowo do Białej Podlaskiej dwie godziny i na rogatkach Lublina wchodziło trzech mundurowych z paskiem pod brodą, z bronią na ramieniu i od wszystkich brali te glejty, a tutaj siedzi młody facet i daje coś [małego koloru] bordowego czy wiśniowego ze złotymi napisami, to całą drogę miałem pod swoim adresem: „Jedzie wtyczka, jedzie ubek", „Jedzie ten, jedzie tamten", „Zobaczysz, jak ty tu wysiądziesz". Człowiek nie będzie się tłumaczył przed autokarem, kto ja jestem, gdzie pracuję, co ja robię, po co, gdzie jadę. I przez całą drogę do takiej Białej Podlaskiej miałem pod swoim adresem właśnie takie epitety rzucane.

11. Powrót do domu w czasie godziny milicyjnej

Jak pracowałem w CAF-ie, mieliśmy takie obowiązkowe narady raz w miesiącu. Musiał być koniec lutego albo marzec [19]82 roku, po naradzie z Warszawy wracałem i wtedy obowiązywała godzina milicyjna od dwudziestej drugiej. Ostatni pociąg z Warszawy przyjeżdżał za dwadzieścia pięć dziewiąta, to było tak, że się zdążyło trzynastką dojechać do Czechowa. Nie wiem co się stało, ale pociąg stanął w połowie drogi, w polu. Stoimy w tym polu, stoimy i [nic] nie wiadomo, żadnego komunikatu, ciemno wkoło, pociąg stoi. Za jakiś czas – [po godzinie], półtorej – pociąg zaczyna jechać z powrotem w kierunku Warszawy, a nie Lublina. [Nadal] nie wiemy co się dzieje, każdy na zegarek patrzy, że to już w zasadzie za parę minut godzina dwudziesta druga, a my jeszcze daleko. Dopiero później jakiś komunikat poszedł, że pociąg będzie miał bardzo duże opóźnienie zanim dojedzie do Lublina, że już są poinformowane służby wojskowe, żeby się nic nie martwić. Nie wiem co tam się stało, [ale] do Lublina dojechałem o godzinie wpół do pierwszej w nocy – przez Skarżysko jechaliśmy jakąś okrężną drogą. W domu nic nie wiedzieli, że coś się stało. Wiedziała

tylko rodzina, że pojechałem rano do Warszawy na naradę i powinienem być wpół do dziesiątej w domu. Już tam wszyscy nie spali całą noc. Wysiedliśmy wszyscy z tego pociągu, jeszcze na dworcu było możliwie, ale jak zaczęli się [ludzie rozchodzić] w swoją stronę, to coraz bardziej ulica się robiła pusta i ten człowiek zostawał coraz bardziej [sam], bo to ani samochodów nie było, ani taksówek, ani autobusów, nic, pusto. Jak już wszedłem na ulicę 1 Maja, [to] już pod koniec był pierwszy patrol, który mnie zatrzymał. Musiałem pokazać dowód i [powiedzieć] dlaczego o tej porze jestem na [ulicy]: „No, bo pociąg z Warszawy…", „Aha, to już wiemy" i mnie puścili. Tych patroli miałem chyba trzy na trasie od 1 Maja do Dąbrowskiego. Tego uczucia ja do końca życia nie zapomnę, bo szedłem sam, na ulicy żywego ducha, samochodu, nic – idzie człowiek sam przez taką ulicę i słyszy tylko odgłosy swoich [kroków]. I [tylko] co jakiś czas pojawiał się patrol, później już nawet nie legitymowali, tylko na Dąbrowskiego jak szedłem, to zobaczyli, że idę jedną stroną, oni szli drugą, to przeszli na drugą stronę, zapytali się, czy idę od dworca, „Tak", „No, to niech pan idzie". Tak doszedłem do Czechowa, sam, samiuteńki na wszystkich ulicach. Jest to nieprawdopodobne uczucie, bo cisza wkoło, całe miasto śpi, człowiek idzie sam – teraz jak się idzie nocą, to gdzieś tam samochód jedzie, gdzieś tam człowiek idzie, widać jakieś życie, a wtedy cisza, cisza i nic więcej, gdzieś tam w oddali tylko było słychać, jak fabryka pracowała i jak pociąg jechał, żadnych samochodów, żadnych ludzi. Przyszedłem do domu, była blisko trzecia nad ranem. W domu rozpacz, bo nie wiedzą czy mnie już zamknęli, czy coś się stało, nikt nic nie wiedział. Jak jechałem za miesiąc znowu do Warszawy na naradę, to widziałem jeszcze tory powyginane, [czyli] tam się musiał jakiś pociąg wykoleić i dlatego nas tak ciągali po Polsce tym pociągiem.

12. Fotografowanie manifestacji

Wszystkie manifestacje, nielegalne strajki [odbywały się] na placu Litewskim. [Jedną] taką manifestację KPN organizował, pan Wójcik – KPN-owcy robili bardzo dużo takich nielegalnych, spontanicznych manifestacji. [Z rozganiania] ich przez tajnych funkcjonariuszy zrobiłem fotoreportaż, który zdobył drugą nagrodę w konkursie ogólnopolskim. Między innymi [jest jedno zdjęcie], jak Wójcika trzymają z rękami wygiętymi do tyłu, a [milicjant] z pojemnika sypie taki pióropusz gazu [łzawiącego] jemu w twarz.

Miałem też nieprzyjemny epizod na placu Litewskim 3 maja, gdzie doszło do szarpaniny. Z tłumu wyskoczyli jacyś [ludzie], zaczęli mnie szarpać, bo akurat trzeba było trafu, że się ubrałem w kurtkę skórzaną i pomylili mnie z jakimś tajniakiem, który ich przesłuchiwał na komendzie. Interweniowała wtedy milicja. Jak już bliżej się przyjrzeli, jak zostaliśmy wylegitymowani, to jednak im się nazwisko nie zgadzało i przepraszali. Ale na oczach ludzi takie widowisko było.

11 listopada było bardzo ciężko fotografować z tego względu, że wszystkie

uroczystości odbywały się już w godzinach wieczornych – jak człowiek błysnął fleszem, to od razu się lokalizował. [Zazwyczaj] odbywała się msza w kościele u jezuitów, następnie przemarsz na plac Litewski. Wszystko to było zawsze nielegalne i wtedy dochodziło do różnych przepychanek z milicją, z zomowcami. 3 maja też robiłem [zdjęcia] na placu Litewskim po mszy w katedrze, też była nielegalna manifestacja, gdzie użyta została polewaczka zomowska, cały zostałem zlany równo ze sprzętem.
Takich [manifestacji] było sporo, [czasami] nawet były manifestacje spontaniczne. [O planowanych dowiadywałem się] na zasadzie poczty pantoflowej, [poza tym były] ulotki rozlepiane na krótko przed [manifestacją]. Przykładowo przelecieli młodzi ludzie, ponaklejali, że o godzinie piętnastej manifestacja pod „Maryśką" – takie krótkie [informacje]. I wtedy tak – jedna manifestacja na placu Litewskim o szesnastej, druga manifestacja pod „Maryśką" – trzeba się było natychmiast przemieszczać. Jeżeli poszła ulotka, to tajniaków było całe mnóstwo i oni byli w gotowości. Jak się zapowiadała manifestacja, [bo] było wiadomo, że 11 listopada będzie, było wiadomo, że 3 maja będzie, to już cała ulica Radziwiłłowska, dawna Dymitrowa, stała radiowozami, zomowców było mnóstwo, bo to już było do przewidzenia. Były wcześniej zapowiadane manifestacje – KPN przykładowo – że przyjeżdża pan Moczulski do Lublina. [Jeśli] było wiadomo, że będzie duża manifestacja, to wtedy miejscem zomowców też była ulica Dymitrowa. Przy „Lubliniance" nieraz stawiali polewaczkę milicyjną, [która] wjeżdżała na plac Litewski. Jeżeli padło coś [niewłaściwego] w czasie manifestacji, to zaczynała się ingerencja i zaczynała się szamotanina. Czasami się przyglądali, jeżeli to nie była duża manifestacja, jeżeli tam nie było [niczego] naruszającego godności czyjejś, jak to oni uważali, to w zasadzie [do ingerencji] nie dochodziło. Ale często było tak, że ingerowali, że było pałowanie na placu Litewskim i tak dalej. A jak coś było już poważniejszego, to wjeżdżała polewaczka, wjeżdżali zomowcy, wchodzili całym szykiem i spychali. Manifestacje organizowane spontanicznie były małe i wtedy już nie było takich dużych sił, tylko wystarczyło kilkudziesięciu tajniaków, ale te manifestacje związane ze świętami narodowymi gromadziły sporo ludzi. Jeżeli była taka spontaniczna manifestacja, to najczęściej odbywało się o godzinie piętnastej na placu Litewskim, kiedy był przejazd dużej ilości samochodów MPK, kiedy ludzie wracali z pracy i sporo było takich ludzi, którzy po prostu przesiadali się na placu Litewskim w inne środki lokomocji.
Na początku stanu wojennego człowiek był między młotem a kowadłem, bo opozycja uważała, że się robi zdjęcia dla służb mundurowych, a mundurowcy myśleli, że się robi dla opozycji. Było się w środku i od jednych można było dostać i od drugich można było niechcący dostać. Później już, jak się trochę zapoznaliśmy twarzowo, człowiek był już charakterystyczny, też było ciężko, trudno się fotografowało, ale już nie było tego niebezpieczeństwa, że można było niechcący dostać od kogoś.
[Skrajnej przemocy] nie miałem „przyjemności" fotografować, całe szczęście. Wtedy tylko co Wójcika tak potraktowali, co mu gazem dali po twarzy, tam były może jakieś

uderzenia pałką, może w ucho dostał, może rozciął łuk brwiowy – coś takiego się zdarzało.

13. Strajk chłopski w stanie wojennym

Był późny maj, pojechałem na strajki chłopskie. To było za albo przed Piaskami. Strajk polegał na tym, że chłopi nie oddawali mleka i zaczął się straszny problem. Problem dla ludzi w mieście, bo nie ma mleka, i problem dla ludzi na wsi, co z tym mlekiem robić. Dochodziło do tego, że mleko było z powrotem podawane do picia krowom. Wylewanie do rowu, marnowanie żywności w świadomości rolników było [czymś strasznym]. Wtedy już miałem samochód, Trabanta zużytego kupiłem, pojechałem tym Trabantem i trafiłem do takich gospodarzy. „Rozpacz, panie redaktorze, co tu robić? Pan popatrzy, sześć krów mam, codziennie mam kilkadziesiąt litrów mleka. Nie mam co z tym robić. Wylewać? Już zaczynamy wylewać, ale to zaczyna śmierdzieć, to kiśnie wkoło, bo to maj, ciepło". Zrobiłem problemy tych rolników i kobiecina mnie pyta: „A może pan by wziął trochę masła? Bo mam trochę własnego masła, śmietany trochę zrobiłam". Ja mówię: „Nie. Nie potrzeba". „Ale niech pan weźmie takiego małego gościńca". „No, małego gościńca to wezmę". Jak się na wsi dowiedzieli, że przyjechał człowiek samochodem i wziął już gościńca, to mi załadowali samochód tym masłem, tym serem, „Panie, weź pan. Rozdasz pan w bloku ludziom, niech to zjedzą, bo przecież my codziennie mamy po kilkadziesiąt litrów mleka, nie wiadomo, co z tym robić". Przywiozłem [mnóstwo] tej śmietany w kankach, w bańkach – fakt, że to nie była śmietana, która się lała, tylko trzeba ją było łyżką wyjmować – sery, masło własnej roboty. Zacząłem [to] faktycznie sąsiadom rozdawać, żona zaniosła koleżankom do pracy – do końca pracy wspominały, że takiego twarogu ze szczypiorem i rzodkiewką, jak wtedy, to nigdy nie jadły. Na drugi dzień jechałem do Chełma i te kanki z powrotem odwoziłem [gospodarzom].

14. Obsługa fotograficzna wizyty Jana Pawła II w Lublinie

Byłem odpowiedzialny z ramienia firmy za przygotowanie całej pielgrzymki Jana Pawła II pod kątem obsługi fotograficznej. Pielgrzymka Jana Pawła II do Lublina dla mnie zaczęła się już w styczniu [19]87 roku, kiedy był powołany komitet organizacyjny pielgrzymki w Polsce. Wtedy było pierwsze zebranie w Warszawie, gdzie zostały już przydzielone pewne rzeczy do wykonania. Na początku dostałem wykaz, ilu może być fotoreporterów, dla ilu fotoreporterów należy zabezpieczyć laboratorium i tak dalej. Miałem się zgłosić do pana redaktora Fity, on był wtedy naczelnym „Sztandaru" i był odpowiedzialny za medialną całość przygotowania wizyty, a ja byłem jak gdyby taki podzespół fotograficzny. Co miesiąc jeździliśmy do Warszawy na narady i było przekazywanie, co się już przygotowało, na jakim etapie

się jest. Trzeba było dużo rzeczy zrobić, bo zapowiedzianych było kilkudziesięciu fotoreporterów, trzeba było tych wszystkich ludzi obsłużyć, żeby im szybko te filmy wywołać, odbitki zrobić, na urządzenia nadawcze zdjęcia nałożyć, nadać to na świat i na kraj. I wszystko ładnie szło, zalecenia z punktu widzenia fotograficznego były po kolei robione. Trzeba było zrobić duże, nowe tanki do wołania filmów, bo negatywy wołało się nie w koreksach, tylko na zasadzie takiej, że się wyciągało z kasety na specjalną ramę i cały film był zanurzany w takim pojemniku z wywoływaczem, a następnie przenoszony do utrwalacza i to było szybkie wołanie. Trzeba było kupić nowe bębny. Całe laboratorium fotograficzne mieściło się na Krakowskim Przedmieściu, w tej chwili jest tam bank, było tam zrobionych trochę robót remontowo-budowlanych na zainstalowanie tych nowych płuczek do dużej ilości zdjęć, tanków do wołania filmów, stanowisk dla laborantów, trzeba było podciągnąć nowe linie z telekomunikacji do przesyłu zdjęć. To wszystko sprawnie szło do maja. Zaczęły się schody, kiedy pojawiła się sprawa szybkiego suszenia, bo najdłuższym procesem w obróbce fotograficznej [było] wtedy samo suszenie i odbitki, i negatywu. Takim skróceniem do minimum [było] zanurzenie negatywu w spirytusie – wtedy wyjmuje się negatyw ze spirytusu, parę sekund i jest suchy. I tutaj był największy problem z zakupem czystego aptecznego spirytusu właśnie do suszenia tych filmów, bo wiadoma była wtedy sprawa – alkohol od trzynastej się sprzedawało, życie w Polsce zaczynało się, jak to mówili ludzie, od trzynastej, a jeszcze kupić spirytus na rachunek dla zakładu pracy to było [niełatwe] do przeskoczenia. Przeskoczyliśmy to już w ostatnim momencie. Było zrobione całe centrum fotograficzne na Krakowskim, przygotowane dla obsługi fotoreporterów, byli zatrudnieni gońcy na motorach, którzy jeździli i zbierali te filmy z punktów zbiorczych – z Majdanka, KUL-u i Czubów – i mieli dowozić do laboratorium, filmy miały być obrabiane i zdjęcia wysyłane w świat. Tak zostało to przygotowane przeze mnie, że zostałem doceniony przez prezesa RSW i dostałem za to Nagrodę Prezesa RSW za najlepiej przygotowaną obsługę fotograficzną w czasie pielgrzymki ojca świętego w czerwcu w [19]87 roku.

15. Zabezpieczenia wizyty Jana Pawła II w Lublinie

[Dla fotoreporterów] był wyznaczony punkt przy samej ścianie, przy trzecim filarze obecnego kościoła na Czubach, my z tej strony fotografowaliśmy ojca świętego. Nie było możliwości chodzenia wśród wiernych, bo jeżeli było się przydzielonym do danego miejsca, to już po tych wszystkich sprawdzeniach antyterrorystycznych nie było później możliwości wyjścia.

Przed pielgrzymką do Lublina pojawiły się ulotki na mieście: „Nie zginąłeś w Rzymie, zginiesz w Lublinie” i ze względów bezpieczeństwa na ołtarzu przed ojcem świętym były ustawione szyby pancerne. Nie wiem czy pancerne, fakt faktem grubość szkła wynosiła 7-9 centymetrów, taki blok szyb był, składał się z siedmiu czy ośmiu szyb, tworzyło to taką grubą warstwę szkła i dla fotografujących było to w zasadzie nie do

wykonania [by] grubość takiego szkła przeskoczyć, to zniekształcało całą ekspozycję i ostrość. Podobno też ze względu na bezpieczeństwo były zaspawane dekle od kanałów na trasie przejazdu papieża, żeby ewentualnie czegoś tam nie włożyć.

Data i miejsce nagrania	2005-05-14, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"